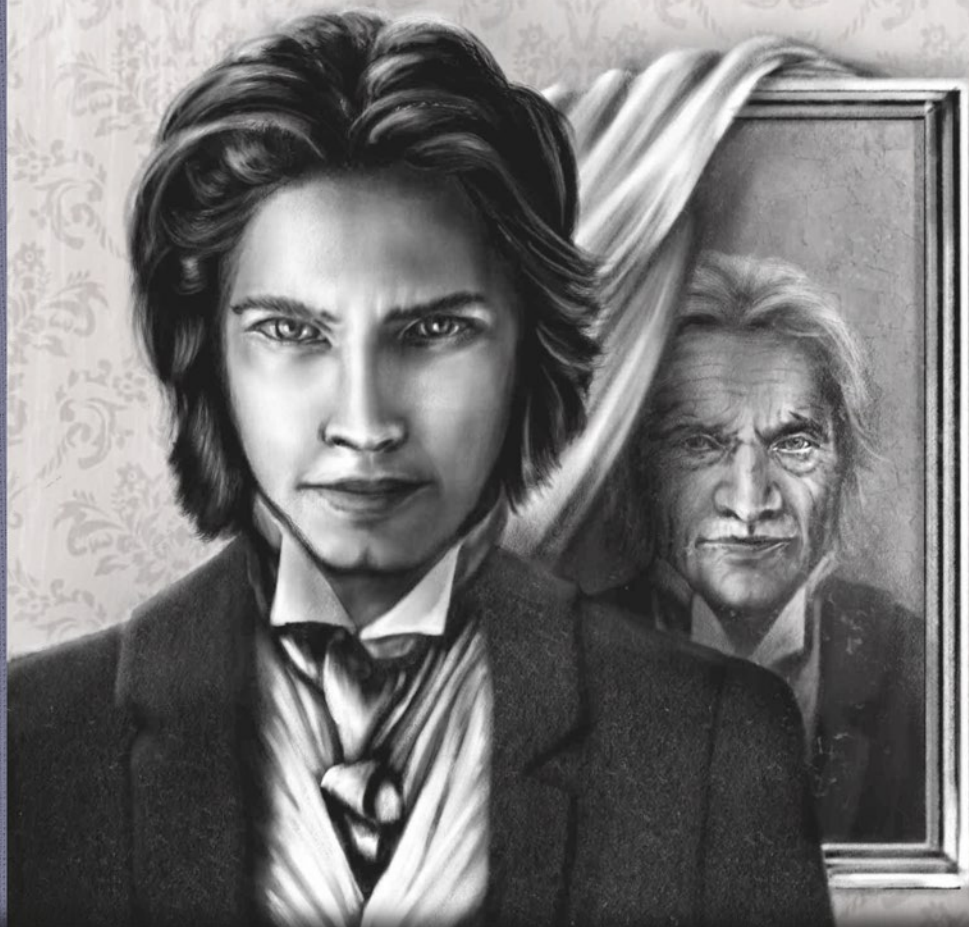




OSCAR WILDE

Portrait
Doriana Graya

*Portrait
Doriana Gray*

OSCAR WILDE

Portret Doriana Graya

Przekład: Kazimierz Czachowski



Tytuł oryginału: ***The Picture of Dorian Gray***

Przekład: **Kazimierz Czachowski**

Tłumaczenie fragmentu wiersza *Sur les lagunes (Na lagunach)* Théophile'a Gautiera na s. 145 i 146: **Martyna Lemańczyk**

Tekst i przypisy książki *Portret Dorian Gray* Oscara Wilde'a na podstawie edycji zamieszczonej w serwisie Wolne Lektury (www.wolnelektury.pl; CC-BY-SA 3.0)

Korekta: **zespół Wydawnictwa SBM**

Opracowanie graficzne: **Jacek Bronowski**

Projekt i opracowanie graficzne okładki: **Anna Witwicka**

Ilustracje na okładce: **Anna Jaroń** (główne), Dreamstime.com: © Olga Lepeshkina,
© Chrupka, © Alpar Meder

© Copyright for the cover and layout by Wydawnictwo SBM, 2021

Warszawa 2021



Wydawnictwo SBM Sp. z o.o.

ul. Sułkowskiego 2/2

01-602 Warszawa

www.WYDAWNICTWO-SBM.pl

ISBN 978-83-8222-566-2

Spis treści

Przedmowa	7
Rozdział I.....	9
Rozdział II	21
Rozdział III.....	35
Rozdział IV	47
Rozdział V	60
Rozdział VI.....	71
Rozdział VII	78
Rozdział VIII	88
Rozdział IX.....	100
Rozdział X	109
Rozdział XI.....	116
Rozdział XII	132
Rozdział XIII	138
Rozdział XIV	144
Rozdział XV	155
Rozdział XVI	164
Rozdział XVII.....	172
Rozdział XVIII	178
Rozdział XIX	186
Rozdział XX.....	195

Przedmowa

Artysta jest twórcą rzeczywistego piękna.

Celem jego jest utaić siebie, objawiając sztukę.

Kto własne wrażenia z dzieła sztuki umie wyrazić w odrębny sposób albo przekształcić na nowy środek artystycznego wzruszenia, ten jest krytykiem. Najwyższą i zarazem najniższą formą krytyki jest autobiografia.

Trzeba być zepsutym i bez wdzięku, aby w pięknie dopatrywać się myśli brzydkich. Jest to grzech. Człowiek kulturalny w rzeczach pięknych widzi myśli piękne. Przyszłość jest jego. Tylko ci są wybrani, dla kogo w rzeczach pięknych nic nie ma poza pięknem.

Książka nie może być moralna lub niemoralna. Jest tylko dobrze albo źle napisana.

Nic więcej. Niechęć wieku dziewiętnastego do realizmu jest wściekłością Kalibana, gdy w zwierciadle nie widzi własnej twarzy.

Życie moralne człowieka stanowi dla artysty część podmiotowego materiału twórczego, lecz moralność sztuki polega na doskonałym użyciu niedoskonałego środka. Artysta nie stara się niczego udowodniać. Każda rzecz prawdziwa może być dowiedziona.

Żaden artysta nie kieruje się upodobaniami etycznymi. Upodobania etyczne u artysty są niewybaczalnym zniekształceniem stylu.

Żaden artysta nigdy nie jest chorobliwy. Artysta ma prawo wyrażać wszystko.

Myśl i język są dla artysty narzędziami sztuki.

Występek i cnota są dla artysty tworzywem sztuki. Ze stanowiska formy wzorem wszystkich sztuk jest muzyka. Ze stanowiska wrażenia wzorem jest sztuka aktorska.

Wszelka sztuka jest zarazem kształtem i symbolem. Na własną odpowiedzialność wnika się poza kształt. Na własną odpowiedzialność odczytuje się symbol.

Sztuka odzwierciedla widza, a nie życie. Różnorodność zdań o dziele sztuki świadczy, że jest nowe, złożone i żywotne.

Jeżeli krytycy spierają się o artystę, to znaczy, że jest on ze sobą w zgodzie.

Możemy przebaczyć człowiekowi dzieło użyteczne, dopóki nie zachwyci się nim.

Jedynym usprawiedliwieniem dzieł nieużytecznych jest wywołana nimi potęga zachwyty.

Sztuka jest bezużyteczna.

Oscar Wilde

Rozdział I

Pracownia była przesycona zapachem róż, a skoro tylko wietrzyk letni poruszył drzewami w ogrodzie, przez otwarte drzwi wnikała ocieźła woń bzu lub wątlej pachniał głóg.

W rogu perskiej sofy wyciągnął się wygodnie lord Henryk Wotton, paląc swym zwyczajem papierosa po papierosie. Mógł stamtąd patrzeć na słodkie jak miód, miodowej barwy kiście wielokwiatu, którego drżące gałązki z trudem zdawały się dźwigać ciężar tak płomiennego piękna. Od czasu do czasu po zawieszonych nad wielkim oknem jedwabnych firankach przesuwwały się fantastyczne cienie przelatujących ptaków, wywołując na chwilę wrażenie japońskiego obrazu. Przypominało mu to owych malarzy tokijskich, o twarzach bladych i znużonych, którzy w sztuce z konieczności nieruchomej starali się oddać wrażenie szybkości i ruchu. Jednostajne brzęczenie pszczół, poszukujących drogi wśród źdźbeł wysokiej, nieprzyciętej trawy lub wytrwale kręcących się dokoła złocistych pyłków powoju, dotkliwie potęgowało panującą ciszę. Słumiony pogwar Londynu wydawał się niby grzmiący ton dalekich organów.

Na pionowo ustawionych w środku pokoju sztalugach był umieszczony naturalnej wielkości portret młodego mężczyzny wyjątkowej urody. W niewielkiej odległości przed portretem siedział jego malarz, Bazyli Hallward, którego nagłe zniknięcie przed paru laty wywołało dużą wrzawę i dało sposobność do najrozmaitszych plotek. W chwili gdy artysta przyglądał się wdzięcznej i czarującej twarzy, tak subtelnie odtworzonej w dziele sztuki, na jego obliczu ukazał się uśmiech zadowolenia i wydawało się, że będzie trwał dłużej. Nagle malarz zadrżał, przymknął oczy, powieki przycisnął palcami, jakby chciał zatrzymać w swym mózgu dziwne marzenie, obawiając się, iż mógłby je postradać.

— To twoje najlepsze dzieło, Bazyli, najlepsza rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiłeś — odezwał się lord Henryk znużonym głosem. — Na przyszły rok musisz posłać je na wystawę w Grosvenor¹. Akademia² jest za wielka i za pospolita. Ile razy tam pójdę, zastaję tylu ludzi, że nie mogę oglądać obrazów, co jest okropne, lub tyle obrazów, że nie widzę ludzi, co jeszcze bardziej odstrasza. Grosvenor jest istotnie jedyną wystawą.

— Wątpię, abym miał je gdziekolwiek wystawiać — odrzekł malarz, odrzucając w tył głowę tym swoim zwykłym ruchem, który był przedmiotem drwin kolegów w Oxfordzie. — Nie, nie dam go nigdzie.

Lord Henryk podniósł oczy, ze zdziwieniem nań spoglądając poprzez błękitne kłęby dymu, unoszące się w fantastycznych zwojach z ciężkiego, opiumowanego papierosa.

— Nie poślesz nigdzie? Dlaczegoż, mój drogi? Z jakiego powodu? Co za okazy z was, malarze! Robicie wszystko, aby zdobyć sławę, a skoro ją macie, zawadza wam. To niemądrze, bo gorsze od tego, że o was mówią, jest to, że o was nie mówią. Tym portretem możesz się wybić ponad wszystkich młodych malarzy, a starych przyprawić o zazdrość, jeżeli w ogóle zdolni są odczuwać cokolwiek.

— Wiem, że będziesz drwił ze mnie — odrzekł — ale ja go naprawdę nie mogę wystawić. Za wiele włożyłem weń samego siebie.

Lord Henryk, wyciągając się na sofie, roześmiał się.

— Za dużo siebie! Słowo daję, Bazyli, że nie podejrzewałem cię o tyle próżności. W istocie nie widzę żadnego podobieństwa między tobą, o rysach twarzy ostrych i surowych, o czuprynie czarnej jak węgiel, a tym młodzieńczym Adonisem³, wyglądającym, jakby był zrobiony z kości słoniowej i z płatków róży. Ależ, drogi Bazyli, to jest Narcyz⁴, a ty — z twojej twarzy bije inteligencja i tak dalej, lecz piękno, prawdziwe piękno kończy się tam, gdzie zaczyna się wyraz myśli. Rozum jest sam w sobie pewnego rodzaju przesadą, psującą harmonię każdego oblicza. Gdy człowiek zabiera się do myślenia, zamienia się cały w nos, czoło lub w coś równie okropnego. Popatrz na ludzi cieszących się powodzeniem w jakimkolwiek uczonym zawodzie. Jak są doskonale brzydzy! Oczywiście, z wyjątkiem Kościoła. Ale ci

¹ *Grosvenor* — modna galeria sztuki w Londynie, przeciwieństwo konserwatywnej Królewskiej Akademii Sztuk Pięknych.

² *Akademia* — Królewska Akademia Sztuk Pięknych w Londynie.

³ *Adonis* — postać z mitologii greckiej; piękny młodzieniec, ulubieniec Afrodyty.

⁴ *Narcyz* — postać z mitologii greckiej; młodzieniec o niezwykłej urodzie, zakochany we własnym odbiciu, które ujrzał w wodach rzeki.

z Kościoła nie myślą wcale. Każdy biskup w osiemdziesiątym roku życia powtarza to, czego nauczono go w osiemnastym, i tylko dlatego wygląda zawsze czarująco. Twój tajemniczy młody przyjaciel, którego nazwiska nie wymieniałeś mi wprawdzie, ale którego portretem się zachwycam, nigdy nie myślał. Jestem tego pewny. Jakaś czarująco bezmyślna istota, mogąca w zimie zastąpić brak kwiatów, a w lecie orzeźwiać nasz umysł. Nie pochlebiaj sobie, Bazyli, wcale nie jesteś do niego podobny.

— Nie zrozumiałeś mnie, Henryku — odparł artysta. — Sam to wiem najlepiej, że nie jestem do niego podobny. Nie chciałbym zresztą być nim. Wzruszasz ramionami? Mówię prawdę. Na wszelkim wyróżnieniu fizycznym lub umysłowym ciąży jakiś fatalizm, który w dziejach idzie śladem chwiejnego kroku królów. Dobrze jest nie różnić się wcale od współczesnych. Dlatego brzydki i głupi są na świecie uprzywilejowani. Mogą żyć wedle woli albo przyglądać się zabawie. Jeśli nic nie wiedzą o zwycięstwach, zaoszczędzono im też wrażenia klęski. Żyją tak, jak pragnęlibyśmy żyć wszyscy: cicho, obojętnie i spokojnie. Nie przeszkadzają nikomu i nikt im nie przeszkadza. Ale ty, Henryku, z twoim tytułem i majątkiem, ja ze swoim umysłem, jaki by on nie był, i ze swoją sztuką, choćby najbardziej niedoskonałą, Dorian Gray ze swoją urodą, musimy cierpieć za udzielone nam dary bogów.

— Dorian Gray? Więc tak się nazywa? — zapytał lord Henryk, zbliżając się do Bazylego Hallwarda.

— Tak, to jego nazwisko. Nie chciałem ci go powiedzieć.

— Dlaczego?

— Ach, nie umiałbym tego wytłumaczyć. Kiedy kogoś bardzo kocham, nikomu nie wymieniam jego imienia. Wydaje mi się to zdradą względem niego. Nauczyłem się kochać tajemnicę. Jest to jedyne, co nasze nowoczesne życie czyni niezwykłym i cudownym. Najpowszechniejsza sprawa ludzka staje się wytworna, skoro ktoś ją przed nami ukryje. Gdy wyjeżdżam z miasta, nikomu nie mówię, dokąd jadę. Jeżeli powiem, tracę całą przyjemność. Może to niemądre, przyznaję, ale w ten sposób przywracam memu życiu romantyczność. Obawiam się, że weźmiesz mnie za kiegoś wariata.

— Bynajmniej — odparł lord Henryk — bynajmniej, mój drogi Bazyli. Wydajesz się zapominać, że jestem żonaty i że jedynym urokiem małżeństwa jest wzajemne łudzenie się, niezbędnie konieczne dla obu stron. Ja nigdy nie wiem, gdzie przebywa moja żona, i ona nie wie, gdzie ja się udaję. Gdy się spotkamy, a zdarza się to niekiedy, że jesteśmy razem na

jakimś obiedzie lub wspólnie wybieramy się do księcia, z najpoważniejszą miną opowiadamy sobie najniedorzeczniejsze historie. Pod tym względem żona przewyższa mnie znakomicie. Nigdy nie zabrnę w datach, gdy ja zawsze mam z nimi kłopot. Zdając sobie z tego sprawę, nie robi mi żadnych wyrzutów. Chciałbym nieraz usłyszeć je od niej, ale jej wystarcza, że wyśmiewa się ze mnie.

— Nie znoszę, gdy w ten sposób wyrażasz się o swym małżeństwie — rzekł Bazyli Hallward, kierując się ku drzwiom wychodzącym na ogród. — Wydaje mi się, że w istocie jesteś bardzo dobrym mężem i tylko wstydzisz się swej cnoty. Dziwny z ciebie człowiek. Nigdy nie powiesz nic moralnego i nigdy nie zrobisz nic złego. Twój cynizm jest zwykłym udawaniem.

— Naturalność jest również udawaniem i to najbardziej drażniącym z tych, jakie znam — zawołał lord Henryk, śmiejąc się.

Wyszli obaj do ogrodu i usiedli na długiej ławce bambusowej, w cieniu krzewu wawrzynowego. Po lśniących liściach ślizgały się promienie słoneczne. Białe stokrocie drżały wśród traw. Po chwili lord Henryk spojrzął na zegarek.

— Muszę już iść, Bazyli — wyszeptał — zanim pójde, chciałbym jednak usłyszeć odpowiedź na moje niedawne pytanie.

— Co za pytanie? — rzekł malarz, nie podnosząc oczu utkwionych w ziemi.

— Wiesz dobrze.

— Nie wiem, Henryku.

— Więc je powtórzę. Musisz mi wytłumaczyć, dlaczego nie chcesz wystawić portretu Doriana Graya. Chcę znać prawdziwą przyczynę.

— Powiedziałem ci całą prawdę.

— Wcale nie. Wskazałeś, że w portret zbyt wiele włożyłeś samego siebie. Nie, to byłoby dziecinne.

— Henryku — rzekł Bazyli Hallward, patrząc mu prosto w oczy — każdy portret malowany z przejściem jest portretem artysty, nie modela. Model to tylko przypadek, okoliczność. Nie jego, ale samego siebie ujawnia malarz na płótnie. Przyczyną, dla której nie chcę wystawić obrazu, jest obawa odsłonięcia tajemnicy mej własnej duszy.

Lord Henryk się roześmiał.

— Jakież to? — zapytał.

— Powiem ci — powiedział Hallward, ale po jego twarzy przeszedł wyraz zmieszania.

— Z ciekawością słucham cię, Bazyli — podjął towarzysz, patrząc na niego.

— Ach, doprawdy niewiele tu do mówienia — odparł malarz — obawiam się, że trudno ci będzie mnie zrozumieć. Może nie uwierzysz nawet.

Lord Henryk się uśmiechnął. Schyliwszy się, zerwał z trawnika różową stokrotkę i zaczął ją oglądać.

— Jestem pewny, że zrozumie — odparł, uporczywie wpatrując się w drobną, złotawą, pierzastą tarczę kwiatu — i wierzę we wszystko, co jest niewiarygodne.

Wiatr strząsnął z krzewu nieco kwiatów, a ciężkie pęki rozkwitłego bzu bujały się w parnym powietrzu. Gdzieś pod murem ćwierkał konik polny, a długa, cienka ważka o skrzydełkach z brązowej gazy mignęła w powietrzu niebieską nitką. Lord Henryk miał wrażenie, że słyszy bicie serca Bazylego Hallwarda, i zdumiony, czekał na ciąg dalszy.

— Historia jest zupełnie prosta — rzekł malarz po pewnym czasie. — Przed dwoma miesiącami byłem na przyjęciu u lady Brandon. Wiesz, że i my, biedni artyści, musimy niekiedy pokazać się w świecie, ażeby nie miano nas za dzikusów. Powiedziałeś raz, że we fraku i w białym krawacie nawet makler giełdowy może zdobyć opinię człowieka cywilizowanego. Zaledwie dziesięć minut przebywałem w tym salonie, rozmawiając z przesadnie wystrojonymi damami i nudnymi akademikami, gdy nagle uczułem, że ktoś na mnie patrzy. Odwróciłem się nieco i po raz pierwszy zobaczyłem Doriana Graya. Gdy spotkaliśmy się wzrokiem, poczułem, że błędę. Ogarnęło mnie dziwne przerażenie. Zrozumiałem, że stanąłem wobec człowieka, którego sama osobowość jest tak ujmująca, iż skoro poddałbym się jej, wchłonęłaby całą moją istotę, całą moją duszę, całą moją sztukę. W moim życiu staram się unikać wpływów zewnętrznych. Wiesz, Henryku, jak zawsze byłem niezależny. Byłem panem samego siebie, panowałem nad sobą, dopóki nie spotkałem Doriana Graya. Wtedy... ale nie wiem, jak ci to wytłumaczyć. Poczułem, że stanąłem wobec strasznego przełomu w moim życiu. Miałem dziwne przeświadczenie, że los przynosi mi wyjątkowe radości i wyjątkowe cierpienia. Przerażony, odwróciłem się, aby opuścić salon. Wyganiało mnie nie sumienie, lecz osobliwego rodzaju tchórzostwo. Nie będę upiększał, że po prostu chciałem uciec.

— Mój Bazyli, sumienie i tchórzliwość są w istocie tym samym. Sumienie jest nazwą firmy. Oto wszystko.

— Nie wierzę w to, Henryku, i nie wierzę, żebyś ty tak wierzył. Jakkolwiek był jednak powód — może była nim duma, bo istotnie jestem bardzo

dumny — dość że kierowałem się ku drzwiom. Na drodze natknąłem się na lady Brandon. „Chyba pan nie odejdzie tak wcześniej, panie Hallward?“, wykrzyknęła. Znasz jej szczególnie ostry dźwięk głosu?

— Tak, we wszystkim, prócz piękności, jest ona pawiem — powiedział lord Henryk, oskubując stokrotkę swymi długimi, nerwowymi palcami.

— Nie mogłem się jej wykręcić. Zaprowadziła mnie do królewskich wysokości i ludzi w orderach i gwiazdach, do starszych dam w olbrzymich tiarach i o papuzich nosach. Mówiła o mnie jako o najlepszym z przyjaciół. Przedtem widziałem ją raz w życiu, zawzięła się jednak, aby zrobić mnie lwem towarzystwa. Zdaje się, że właśnie któryś z moich obrazów cieszył się dużym powodzeniem, przynajmniej pisano o nim w prasie dwugroszowej, co w wieku dziewiętnastym jest sztandarem nieśmiertelności. Nagle znalazłem się oko w oko z młodym mężczyzną, którego postać tak dziwnie mnie zająła. Staliśmy koło siebie i niemal się dotykaliśmy. Znowu spotkaliśmy się wzrokiem. Wbrew woli poprosiłem lady Brandon, ażeby mnie jemu przedstawiła. Nie było to może nawet nierozważne, bo nieuniknione. Bylibyśmy mówili ze sobą nawet nieprzedstawieni. Jestem tego pewny. Dorian Gray powiedział mi później to samo; również czuł konieczność poznania się ze mną.

— Jakże lady Brandon określiła owego cudownego młodzieńca? — spytał towarzysz.

— Wiem, że o wszystkich swych gościach zwykła jest urabiać zwężłe powiedzenia. Przypominam sobie, jak przedstawiając mnie pewnemu je-gomościowi, dosłownie pokrytemu orderami i wstęgami, tragicznym szep-tem, który wszyscy w pokoju doskonale słyszeli, trąbiła mi w ucho najdzi-waczniejsze o nim szczegóły. Po prostu uciekłem. Lubię mieć własny sąd o ludziach. Ale lady Brandon postępuje ze swymi gośćmi jak akcjonariusz ze swym towarem. Albo zupełnie ich pomija, albo opowiada o nich wszyst-ko prócz tego, co byłoby naprawdę ciekawe.

— Biedna lady Brandon! Ostro ją sądzisz, Henryku! — rzekł Hallward niedbale.

— Mój drogi, chciała mieć salon, a udało się jej otworzyć tylko restau-rację. Za cóż miałbym się nią zachwycać? Powiedz mi jednak, co powie-działo o panu Dorianie Grayu?

— Ach, coś w tym rodzaju: „Śliczny chłopiec, jego biedna matka była moją nierozłączną przyjaciółką. Zupełnie zapomniałam, czym on się zaj-muje, chyba niczym... ach, tak, grą na fortepianie, jeżeli nie na skrzypcach, kochany panie Gray?”. Nie mogliśmy powstrzymać się od śmiechu i od razu zostaliśmy przyjaciółmi.

— Śmiech to wcale niezły początek przyjaźni i najczęściej bywa też najlepszym jej zakończeniem — rzekł młody lord, zrywając znowu stokrotkę.

Hallward wstrząsnął głową.

— Ty nie rozumiesz, Henryku — wyszeptał — co to jest przyjaźń albo nieprzyjaźń. Ty lubisz wszystkich, lub, jeśli wolisz, dla każdego jesteś obojętny.

— Jakże okropnie niesprawiedliwy jesteś! — zawołał lord Henryk, zsuwając kapelusz na tył głowy i patrząc w górę na obłoki, płynące po głęboko turkusowym błękitnie letniego nieba niby lśniące płatki białego jedwabiu. — Tak, okropnie niesprawiedliwy. Robię między ludźmi wielkie różnice. Przyjaciół wybieram sobie dla ich dobrego wyglądu, znajomych dla ich dobrego charakteru, a nieprzyjaciół dla ich bystrego umysłu. Człowiek nigdy nie może być dość oględny przy wyborze swych wrogów. Nie mam ani jednego, który by był głupcem. Owszem, są to wszystko ludzie o wybitnie mocnej inteligencji, więc też umieją ocenić mnie. Czy świadczy to o mej próżności? Zdaje się, że jestem próżny.

— Myślę, że tak jest naprawdę. Ale stosując się do twojej metody doboru, winienem uważać się tylko za zwykłego znajomego.

— Mój drogi, stary Bazyli, jesteś dla mnie więcej niż znajomym.

— A mniej niż przyjacielem, czymś, jak mniemam, w rodzaju brata?

— Ach, bracia! Za nic mam braci. Mój starszy brat nie myśli umierać, a młodszy, zdaje się, nie robią nic innego.

— Henryku! — wykrzyknął Hallward, marszcząc brwi.

— Mój drogi towarzyszu, nie mówię tego zupełnie poważnie. Ale nie mogę się powstrzymać od nienawiści do mych krewnych. Pocho-
dzi to zapewne stąd, że nikt z nas nie znosi widoku osób mających te same wady. Razem z demokracją angielską podzielam nienawiść do tego wszystkiego, co nazywają występkami wyższych sfer. Tłum rozumie doskonale, że pijaństwo, głupota i rozpusta są jego własnością, więc jeśli ktoś z nas, robiąc z siebie osła, przywłaszczy sobie jedną z tych przywar, wygląda jak kłusownik polujący na cudzym polu. Gdy ów biedny Southwark stanął przed sądem rozwodowym, wspaniałe było oburzenie tłumu. Jestem zaś przeświadczony, że dziesięć procent proletariatu nie prowadzi się należycie.

— Nie zgadzam się z tobą nawet w jednym słowie, Henryku, czuję przy tym na pewno, że ty się nie zgadzasz z tym, co mówisz.

Lord Henryk gładził swą ciemną, długą, spiczasto przystrzyżoną brodę i hebanową laską uderzał w swój but z wyborowej skóry.

— Jaki z ciebie Anglik, Bazyli! Po raz wtóry już robisz mi tę uwagę. Jeżeli ktoś prawdziwemu Anglikowi powie swoją myśl, co zawsze jest rzeczą bardzo śmiałą, on nigdy nie patrzy na to, czy sama przez się jest dobra albo zła. Obchodzi go bardziej to, w co ktoś wierzy albo nie wierzy. Tymczasem wartość myśli jest zupełnie niezależna od wygłaszającego ją człowieka. Jest całkiem prawdopodobne, że wartość myśli jest tym większa, im człowiek jest mniej szczery, tym bardziej bowiem będzie zabarwiona jego potrzebami, pragnieniami lub przesadami. Nie chcę jednak rozprawiać z tobą o polityce, socjologii lub metafizyce. Bardziej niż zasady podobają mi się ludzie, a ludzie bez zasad bardziej od wszystkich innych. Opowiedz mi lepiej coś o panu Dorianie Grayu. Czy często go widzujesz?

— Codziennie. Inaczej nie czułbym się szczęśliwy. Jest mi niezbędnie potrzebny.

— To nadzwyczajne! Myślałem, że poza sztuką nic cię już nie będzie obchodzić.

— On jest teraz całą moją sztuką — odparł malarz poważnie. — Przychodzi mi niekiedy na myśl, że w dziejach świata są tylko dwie epoki o pewnej doniosłości. Pierwszą jest zdobycie dla sztuki nowego środka, drugą zjawienie się nowej osobistości twórczej. Tym, czym dla Wenecjan był wynalazek malarstwa olejnego, czym oblicze Antinousa¹ dla dawnej sztuki greckiej, tym stanie się kiedyś dla mnie Dorian Gray. Nie tylko dlatego, że maluję według niego, według niego rysuję i szkicuję, bo robiłem to już przedtem, ale poza tym jest on dla mnie czymś więcej niż modelem lub wzorem. Nie mówię, żebym nie był zadowolony z tego, com z niego utworzył, albo że jego piękna nie można oddać w sztuce. Na świecie nie ma nic, czego by nie można wyrazić w sztuce, i wiem dobrze, że dzieło, które namalowałem po spotkaniu z Dorianem Grayem, jest pięknym, najlepszym dziełem mego życia. Ale jakimś dziwnym, niepojętym sposobem — będę zdumiony, jeśli zdołasz mnie zrozumieć — jego osobowość natchnęła mnie zupełnie nowym rodzajem sztuki, zupełnie nowym stylem. Odmieniam widzę rzeczy, odmiennie o nich myślę. Mogę teraz tworzyć na drodze poprzednio przede mną zamkniętej. „Kształt wymarzony w godzinach myśli”, kto to powiedział, nie pamiętam, lecz tym właśnie stał się dla mnie

¹ *Antinous* — grecki młodzieniec o niezwyklej urodzie, wychowywany na dworze Hadrian. Stał się kochankiem rzymskiego cesarza, za zgodą żony władcy. Utonął w Nilu. Hadrian ogłosił go herosem, nazwano na jego cześć gwiazdozbiór, urządzano igrzyska, budowano świątynie, a na polecenie cesarza artyści tworzyli jego rzeźby i portrety.

Dorian Gray. Jedynie widoma obecność tego młodzianka, gdyż jest on dla mnie młodziankiem, choć ma lat przeszło dwadzieścia, jedynie widoma jego obecność! Ach, zdumiewałoby mnie, jeślibyś uświadamiał sobie, co to wszystko znaczy. Bezwiednie odsłonił on przede mną linie świeżej szkoły, szkoły łączącej namiętność ducha romantyzmu z doskonałością ducha greckiego. Harmonia duszy i ciała — jakże wiele! W naszym zaślepieniu oddzieliliśmy oboje, aby wynaleźć prostacki realizm i pusty idealizm. Henryku! Gdybyś tylko wiedział, czym jest dla mnie Dorian Gray! Pamiętasz mój krajobraz, za który Agnew dawał mi tak wysoką cenę, ale z którym nie chciałem się rozstać? To jeden z mych najlepszych obrazów, a dlaczego? Bo gdy go malowałem, Dorian Gray siedział przy mnie. W jego obecności działał na mnie jakiś subtelny wpływ i po raz pierwszy w życiu w zwykłym krajobrazie leśnym uchwyciłem ten czar, którego poszukiwałem od dawna i zawsze na próżno.

— To nadzwyczajne, Bazyli! Muszę zobaczyć Doriana Graya.

Hallward powstał z ławki i począł chodzić po ogrodzie. Po chwili wrócił.

— Henryku — powiedział — Dorian Gray jest tylko dla mnie wątkiem artystycznym. Ty nie dojrzysz w nim nic, ja widzę w nim wszystko. W moim dziele nigdy nie jest bardziej obecny niż wtedy, kiedy jego obrazu tam nie ma. Jak powiedziałem, jest on natchnieniem nowego stylu. Odnajduję go w załamaniach niektórych linii, we wdzięku i subtelności niektórych barw. Oto wszystko.

— Dlaczegoż więc nie chcesz wystawić jego portretu? — zapytał lord Henryk.

— Gdyż mimo woli włożyłem weń wyraz tego całego ubóstwienia artystycznego, o jakim zresztą Dorianowi nigdy nie wspomniałem. On o tym nic nie wie. Nigdy nie będzie wiedział. Ale ludzie mogliby odgadnąć, a przed przyziemnymi spojrzeniami ciekawych nie chcę odsłaniać swej duszy. Serca mego nigdy nie oddam pod ich mikroskop. W obrazie tym, Henryku, jest za wiele mnie samego, za wiele!

— Poeci nie mają tylu zastrzeżeń, gdyż wiedzą, ile namiętność artysty sprzyja rozpowszechnieniu jego dzieł. W dzisiejszych czasach złamane serce osiąga wiele wydań.

— Nienawidzę ich za to — zawołał Hallward. — Artysta winien tworzyć dzieła piękne, ale nie wkładać w nie nic z własnego życia. Żyjemy w wieku, w którym uważa się sztukę tylko za rodzaj autobiografii. Zatraciliśmy zmysł piękna abstrakcyjnego. Pewnego dnia ukażę światu, czym ono jest, i dlatego świat nigdy nie zobaczy mego portretu Doriana Graya.

— Zdaje mi się, Bazyli, że nie masz racji, ale nie będę się z tobą sprzeczał. Tylko umysłowi bankruci prowadzą spory. Powiedz mi, czy Dorian Gray kocha cię bardzo?

Malarz namyslał się przez chwilę.

— Lubi mnie — odparł po przerwie — wiem, że mnie lubi. Zresztą bardzo mu schlebiam. Uczuwaam dziwną przyjemność, mówiąc mu rzeczy, których mówić mu nie powinienem. Zazwyczaj jest dla mnie bardzo miły, całe dnie spędzamy w pracowni na rozmowach o tysiącnych rzeczach. Niekiedy bywa mocno roztargniony, i zdaje się, że sprawia mu wówczas przyjemność, jeśli mi czymś dokuczy. Wówczas czuję, Henryku, że całą swą duszę oddałem człowiekowi obchodzącym się z nią jak z kwiatem do butonierki, ze schlebającym jego próżności skrawkiem odznaki lub jak z ozdobą na jeden dzień letni.

— Letnie dnie, Bazyli, są długie — szepnął lord Henryk. — Może prędzej sprzykrzy się on tobie, niż ty jemu. Jest to smutne, ale geniusz bez wątpienia trwa dłużej niż piękno. Tłumaczy to, czemu zadajemy sobie tyle trudu, aby zdobyć sobie wyższą kulturę. W dzikiej walce o byt potrzeba nam czegoś, co trwa, i dlatego w karlej nadziei zachowania światowego stanowiska zawałamy nasz umysł rumowiskiem faktów. Ideałem nowoczesnym jest człowiek wykształcony wszechstronnie. Umysł takiego człowieka jest czymś przerażającym, wygląda niczym tandetny stragan, pełen dziwactw i kurzu, gdzie wszystko ocenia się powyżej wartości. Sądzę, że właśnie ciebie znudzi on pierwej. Pewnego dnia spojrzysz na swego przyjaciela, aby dostrzec, że jest przerysowany albo przejęskrawiony w kolorze, lub coś podobnego. W duszy będziesz wymawiał mu to z goryczą, z tym przeświadczeniem, że wyrządził ci krzywdę. Gdy opanujesz się znowu, będziesz dlań zimny i obojętny. Będzie to smutne, gdyż zmieni ciebie. Opowiadałeś mi cały romans, nazwałbym go romansem sztuki, a najgorszą stroną każdego romansu jest to, że robi ludzi tak bardzo nieromantycznymi.

— Nie mów tak, Henryku. Póki będę żył, będę pod wpływem osoby Doriana Graya. Nie możesz czuć tego, co ja. Jesteś zbyt zmienny.

— Ach, mój drogi Bazyli, właśnie dlatego odczuć to mogę tak dobrze. Wierni znają tylko powszednią stronę miłości, niewierni znają jej tragedie.

Lord Henryk, potarłszy zapalną o misterne srebrne pudełko, zapalił papierosa z wyrazem tak pewnym i zadowolonym, jak gdyby jednym zdaniem udało mu się określić cały świat. Na ciemną zieleń bluszczu opadła wrzaskliwa ciżba wróbli, a błękitne cienie obłoków przemykały się po trawniku jak jaskółki. Pięknie było w tym ogrodzie! Wrażenia innych ludzi wydawały

się lordowi czarujące, bardziej czarujące od ich myśli. Godne uwagi w życiu były dlań własna dusza i uczucia jego przyjaciół. Z cichym zadowoleniem wyobrażał sobie nudne śniadanie, które opuścił z powodu tak długiej bytności u Bazylego Hallwarda. Gdyby poszedł do ciotki, na pewno spotkałby u niej lorda Goodberry, rozmowa toczyłaby się około wspomagania ubogich i konieczności zakładania wzorowych przytułków. Słyszałby, jak ludzie głoszą ważność cnót, do których uprawiania nie mieli w swym życiu sposobności. Bogaci mówiliby o znaczeniu oszczędności, wymowni próżniacy o dostojęństwie pracy. Cudownie, że ominął to wszystko! Wspomnienie ciotki nasunęło mu pewną myśl. Zwrócił się do Hallwarda, mówiąc:

— Mój drogi towarzyszu, teraz sobie przypominam.

— Co przypominasz sobie, Henryku?

— Przypominam sobie, gdzie usłyszałem nazwisko Doriana Graya.

— Gdzież to? — spytał Hallward, lekko marszcząc brwi.

— Nie patrz tak srogo, Bazyli. Było to u mej ciotki, lady Agaty. Opowiadała mi, że poznała uroczego młodego mężczyznę, który będzie jej pomagał w East End¹ i nazywa się Dorian Gray. Mogę cię upewnić, że nic nie wspominała o jego urodzie. Kobiety, przynajmniej kobiety dobre, nie znają się na urodzie. Mówiła, że jest bardzo poważny i ma piękny charakter. Wyobraziłem go sobie jako chuderlawego osobnika w okularach, o rzadkich włosach, bardzo piegowatego i z dużymi nogami. Szkoda, iż nie wiedziałem, że to jest twój przyjaciel.

— Rad jestem, Henryku, żeś o tym nie wiedział.

— Dlaczego?

— Nie chcę, abyś się z nim spotykał.

— Nie chcesz, żebym spotykał się z nim?

— Nie.

— Proszę pana, pan Dorian Gray jest w pracowni — oznajmił służący, wchodząc do ogrodu.

— Teraz będziesz musiał mi go przedstawić — zawołał lord Henryk, śmiejąc się.

Malarz zwrócił się do służącego, który stojąc w słońcu, mrużył oczy:

— Poproś, Parkerze, pana Graya, aby zaczekał na mnie. Przyjdę tam za chwilę.

Służący, skłoniwszy się, odszedł.

Hallward spojrzał na lorda Henryka.

¹ *East End* — ubogie dzielnice wschodniego Londynu.